

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

11

(Ciąg dalszy).

Franciszek Springer ze strachem spojrzął na doktora, który ostatnie słowa wypowiedział prawie obojętnie, ze zwykłym swoim spokojem.

— Daj spokój, doktorze! na miły Bóg, daj spokój! — zawołał — nie przyprowadzaj mnie do szaleństwa! Dlaczego opowiadasz mi o tem wszystkim, a nie mówisz, jak temu zaradzić?! Przecież nie mogę zmusić Heleny, aby wyszła za mego syna, skoro go ona nie znosi!...

— To prawda! ale właśnie trzeba pomyśleć, żeby ona zaczęła go znosić!...

— Ba! ale co robić? co robić, doktorze, skoro z nią nawet kobiety nie mogą sobie dać rady?...

— Co to kobiety? W takich wypadkach nie zawsze są najsprytniejsze!... Wczoraj ja sam nie byłbym jeszcze wpadł na przykład na ten pomysł, jaki mi dziś list Heleny nastreczył!...

Springer spojrzął pytająco na doktora, a ten mówił dalej, ale już pewną niecierpliwością:

— Przecież to najprostsza rzecz pod słońcem! Widzisz przecie, że dziewczyna nie tęskni za komplementami, którymi ją twój syn zasypuje. Ona ogląda się za kimś, ktoby stanął po jej stronie w walce z nami, ktoby ją z tego położenia uwolnił!...

— O tem wiem! — rzekł ponuro Springer — i dlatego właśnie mój Cezar niema żadnych widoków zwycięstwa!...

— Czy tak? — uśmiechnął się szyderczo adwokat. A dlaczegoż twój syn nie mógłby być jej stronnikiem? Dlaczego przez parę tygodni nie mógłby on bawić się w naszego nieprzyjaciela, jeśli chodzi o to, aby raz na zawsze wsadzić do klatki tego złotego ptaszka?!

Twarz Springera rozjaśniła się odrazu. Zrozumiał teraz, o co chodzi doktorowi.

— Doprawdy, doktorze, że ty jesteś najlepszym moim przyjacielem i doradcą! Bez ciebie byłbym już sto razy zgubiony!...

— Cieszy mnie to uznanie! — odpowiedział chłodno Harras. — Przy tej jednak sposobności

prosiłbym cię, abys przywołał do porządku twoją córkę. Zdaje mi się, że w tym domu nie powinny mnie takie, jak dziś, przyjemności!...

— Ależ kochany doktorze! nie możesz chyba mieć do mnie urazy za głupotę tej dziewczyny. Albertyna otrzymała już swoją porcję i dziś wieczorem padnie ci do nóg, aby prosić o przebaczenie. Tymczasem jednak wróćmy do głównej rzeczy. Czy sądzisz, że Helena wpadnie w te nowe siła?

— Hm! to zależy od sprytu i zręczności Cezara. Ale zdaje mi się, że nie będzie to takie trudne, bo tonący z rozpaczę chwytą się brzytwy, a Helenie do tego stopnia rozpaczę już chyba nie daleko!...

— Ona mu jednak nie ufa, więc początek będzie bardzo ciężki!...

— Prawda, ale i na to jest rada. Dziś przed kolacją w przyległym pokoju, od którego drzwi będą uchylone, pokłócicie się. On stanie w jej obronie, będzie przysięgać, że nie pozwoli oczerniać jej ojca, ani wieść jej tutaj. Krótko i węzłowato, odegracie komedijkę, a im więcej ty będziesz na niego napadać, im więcej go będziesz łajać, tem lepiej, bo struna dramatyczna w sercu dziewczyny silniej zadźwięczy, a o to tylko chodzi. A potem... no, potem będzie odgrywać jej przyjaciela! Gdyby zaś to za długo trwało, sięgniemy do apteczki domowej po pewien niezawodny środek!...

— Jaki? jaki? — zapytał drżącym głosem Franciszek.

— Trzeba będzie skompromitować ją w jakiś sposób z Cezarem. Sposobności do tego nigdy nam nie zabraknie. Ale to należy już do dalekiej przyszłości i wolałbym tego uniknąć. A tymczasem pilnujmy się i pilnujmy dobrze poczty, amerykańskiej zwłaszcza, że i my czekamy przecie listów z tej obiecannej ziemi!...

— O to możesz być spokojny, doktorze! Helena bez mej wiedzy nie odbierze ani jednego listu, choćby ten Archer wysłał jej tysiące korespondencji co dnia! Ale gdy mowa o Ameryce, to powiem jeszcze jedno. Dyabło mnie gnębi obawa, czy Rudolf nie opowiadał tam komu, że zarobione sumy zdeponował u mnie. Udowodnić tego niktby dziś nie mógł, ale w każdym razie nie należy do przyjemności żyć w ciągłej trwodze!...

— W tej sprawie Bergmann da nam niebawem dokładne wyjaśnienia. On już chyba dawno jest w Ameryce i prowadzi tajne śledztwo. Kazałem mu przytem, aby zaraz mi telegrafował, gdyby tylko okazało się coś podejrzanego. Ponieważ zaś do tej pory nie mam od niego żadnej wiadomości, wszystko musi być w porządku!...

Springer uśmiechnął się i zatarł z zadowoleniem ręce.

— Pan o wszystkim myślisz, doktorze! Pan doprawdy jesteś tą epoką, na której można bez obawy wznosić potężne gmachy! A ten Bergmann, co to za zręczny łajdak! Zdaje mi się, że to była najszcześniejsza chwila w mem życiu, gdy go złapałem za rękę przy mojej kasie. Lepszego pomocnika nigdy byśmy chyba nie znaleźli i zawdzięczamy mu chyba dość szczęśliwie przeprowadzonych interesów!...

— Nie my, tylko pan, panie Springer! — rzekł doktor z naciskiem — interesy, do których używałeś pan Bergmanna, wyłącznie ciebie tylko obchodziły i tyś z nich tylko korzystał!...

— Nie kłóćmy się o to, doktoru! — zaśmiał się rubasznie Franciszek Springer — zdaje mi się, że obaj zarobiliśmy na tem. A trzeba ci było widzieć, jak on wspaniale wyglądał w Hamburgu. Powiadam ci, że ja go sam nie poznałem!...

Adwokat wstał z krzesła i gniewnie spojrzął na mówiącego.

— Już raz powiedziałem panu, panie Springer — rzekł surowym głosem — że ja nie wiem i nie chcę wiedzieć o niczem, co zaszło w Hamburgu. Słyszałem, że pański brat padł tam ofiarą nieszczęśliwego wypadku, ale nic więcej! Co pan zrobiłeś, albo też kazałeś zrobić, to uczyniłeś na swoją własną odpowiedzialność i jeśli tylko zechcesz mnie mieszać w te rzeczy, tak natychmiast zerwę z tobą wszelkie stosunki! Mam niepłonną nadzieję panie Springer, że więcej nie będę zmuszony przywodzić pana do opamiętania!...

Springer zbladł jak chusta i z tajonym gniewem spojrzął na doktora, ale pod siłą jego wzroku, pochylił głowę i zaczął mruczeć coś o pośpiechu, chwilowem zapomnieniu i uniesieniu, co wszystko razem brzmiało jak pokorna prośba o przebaczenie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

4

(Ciąg dalszy).

U lewego boku jeźdźca wisi długi miecz. Przejeżdża obok, jakby nie widząc nikogo.

Młody rycerz zawołał:

— Tu jest Matsnura Kosziro Morizane. Choć jestem trochę zraniony, nie utraciłem jednak męstwa. Jeśli masz również trochę odwagi, to pragnę z tobą walczyć.

Usłyszawszy wołanie, jeździec podjechał, zatrzymał konia i spojrzął na twarz ranionego.

— Kosziro, to ty?

Kosziro spojrzął podejrzliwie na jeźdźcę i odrzekł:

— Tak, jestem Kosziro Morizane, a ty kto?

Jeździec pokazał mu maleńki sztandar i na czerwonym tle jego swe imię: Tojama Zakonnomke Tagenige.

Kosziro zawołał ze smutkiem:

— To ty, wuju?

— Kosziro, dawno cię już nie widziałem — smutnie odpowiedział jeździec i zsiadł z konia; trzymając konia za cugle, podszedł do swego bratanka.

Kosziro uklonił się uprzejmie.

— Życzę ci zdrowia.

Wuj odrzekł:

— Ja tobie również. — Marszcząc brwi, spojrzął na Morizane. — Tyś raniony? Sądząc z koloru twojej twarzy i z twego oddechu, jesteś ciężko ranny.

W czasie wojny ojciec porzuca syna, syn — ojca.

Podczas walki nie wolno słuchać słów życzliwych, ani też wypowiadać je. Serce ludzkie jest pełne odwagi. Współczujące słowo wodza nie obowiązuje nigdy do oszczędzania nieprzyjaciela. Rycerz, ujrzawszy nieprzyjaciela, zabija go lub sam ginie.

W taki uciążliwy czas młody rycerz ujrzał swego wuja. Słowa, które od niego usłyszał, brzmiały miękko. Łzy trysnęły z oczu Kosziro i zmyły krew z jego pancerza.

— Tak — odrzekł bohater, lecz dalej mówić nie mógł.

Głowa jego opadła na dół.

Wuj wyjął ze swej szkatułki proszek od ran, zmoczył go językiem, wziął na palec i rzekł:

— No, Kosziro, masz tu lekarstwo, podnieś twarz.

Morizane wówczas podsunął wujowi twarz z wdzięcznością; ów, podtrzymując ręką jego brodę, nałożył na ranę lekarstwo i rzekł:

— Oh, co za rana! Czy bardzo cię boli? Nie bardzo? Może masz także rany od strzał?

— Tak — odrzekł Kosziro — na lewej ręce i na prawem ramieniu.

Wuj zapytał:

— A więc kula cię nie trafiła?

— Nie, na szczęście.

— Wargi twe drżą.

Ukazując na zabitego żołnierza, młodzieniec odrzekł:

— Ten mały niespodzianie zranił mnie w bok.

Wuj dodał:

— Jakto, ten? I zabiłeś go?

Na twarzy jego ukazał się lekki uśmiech, jakby chciał pochwalić męstwo bratanka.

Młodzieniec uśmiechnął się również i rzekł:

— Tak, uciąłem mu głowę.

Wuj pochwalił go i strzepnął śnieg z jego włosów. Wpatrując się w twarz młodzieńca, mimowoli odwrócił się i otarł łzy.

Nagle rozległ się strzał. Zagrzmiały zwycięskie salwy.

Młodzieniec podniósł głowę i spojrzął w stronę, skąd dochodził szum, poczem utkwiał oczy w twarz wuja.

— Niespodzianie spotkałem cię tutaj; jest to radość przedśmiertna.

— Przedśmiertna? — zapytał starzec.

— Tak, chcę wrócić na plac boju i zginąć tam.

— To dobrze, jesteś odważny, lecz wojsko nasze jest rozbite. Słyszysz, słyszysz! Zwycięskie okrzyki po naszej stronie. Pragnienie twoje wrócić i walczyć dalej jest chwalebne, lecz bezcelowe. Możesz rzucić się na wroga i odważnie się bić, lecz zwyciężyć nie jest w twojej mocy. Byłoby to

dziką ofiarą! Przytem jesteś raniony, może cię zabić przeciętny żołnierz. Nie dzisiaj tylko będą walczyć — wylecz swe rany, nabierz nowych sił. Walcz potem dalej. Życie zdołasz zawsze poświęcić. Teraz, jedź ze mną; pozwól wyleczyć swe rany. Czy zgadzasz się, Kosziro?

Biedny Morizane odrzekł ze smutkiem:

— Nie wolno mi cię słuchać. Powiadają, iż jeśli człowiek umiera tam, gdzie umrzeć nie powinien, hańba jego jest gorszą od śmierci. Szczęście nasze wojenne poblądło; jesteśmy rozbici, ja zraniony nie leżę na polu walki; przyjaciel i wróg powinni mieć mnie za tchórza. Czyż śmiałybym uciekać do was i leczyć swe rany? Dałeś mi radę przyjacielską, lecz czasy się zmieniły, teraz jest wojna. Czyż należy tak mówić do wiernego, spragnionego sławy rycerza? Ja, Kosziro, nie oszczędzę swego życia.

— Żartujesz, wuju. Byłeś przyjacielem mego nieboszczyka ojca, wychowałeś mnie, czemu nie rozkażesz mi odważnie brzuch sobie rozpruć? Życzliwość twoja sprawia mi ból.

Wuj zamilkł. Zanurzył miecz swój w ziemię i oparł się o siodło. Morizane czekał odpowiedzi, wreszcie rzekł:

— Panie wuju, odchodzę.

Takenige pogrążony był w myślach i nie słyszał go; nie ruszył się z miejsca, tylko koń jego zarżał, zrzucając śnieg z grzywy.

— Żegnamy się na zawsze — ciągnął Morizane dalej. — Proszę, pozdrów odemnie żonę twą, moją ciotkę i ciotkę waszą, Janinę.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz głos mu się załamał. Wreszcie zebrał siły i rzekł:

— Ah, ja nieszczęsny Kosziro! Gdy miałem ośm lat, straciłem rodziców i stałem się ciężarem wujowi i ciotce. Odziedziczyłem tylko dom ojca mego, małe mam środki do życia. Powinienem wam wywdziękować się za to, żeście mnie wychowali. Wojna ta wybuchła niespodzianie i znalazłem się w szeregach wroga twego. Okazuję się teraz takim niewdzięcznym!

(Ciąg dalszy nastąpi).